

Wenecka arystokracja – prostak ten, kto nie da jej zarobić

24 lipca 2019

Przeczytałem parę dni temu artykuł w którym opisany był przypadek niemieckich turystów, którzy śmieli na weneckim, najważniejszym moście, przez który przewala się dziennie pokaźny tabun turystów zaparzyć sobie bezczelnie kawę na turystycznej kuchence. Okrutniki z weneckiej straży miejskiej nie miały litości. Wpieprzyły delikwentom prawie tysiąc euro kary z podziałem na... on dostał 650, a ona 300. Podział kary pozostanie tajemnicą poliszynela. Mniemam, że on sterował płomieniem palnika, a ona z zimną krwią patrzyła na ten parzenia kawy jakże okrutny proceder.

Skazańcy oprócz kary w ich rodzimej walucie zostali skazani na natychmiastową banicję z miasta. Mało tego, w ich sprawie zabrał głos sam „burmistrz” tego wyjątkowo arystokratycznego miasta, nazywając tychże prostakami. Szkoda, że jeszcze nie porobili zdjęć jak z filmów Barei typu „tych klientów nie obsługujemy”.

Oczywiście nie będę się rozpisywał jakie walory, czy doznania estetyczne mogą towarzyszyć mieszkańcom Wenecji, którzy tak de facto żyją poniekąd jak szczury w dosyć ciasnym labiryncie i jeszcze „robiąc pod siebie”. Tutaj raczej chodzi o walory ekonomiczne. Mieszkańcy tego „zacnego” miasta muszą natargać na turystach duków ile się da, każdy który nie da zarobić i choćby przyniesie sobie kawę w termosie, albo zaparzy sobie świeżą samodzielnie uznawany niechybnie zostanie za prostaka.

Jako typowy, polski prostak trzy lata temu zawitałem do tego „zacnego” miasta. Nie wiem dlaczego „burmistrz” tego „zacnego” miasta nie zauważa ciapatych naciągaczy na karmę dla gołębi.

No bo tak... Przebijamy się całą rodziną, żeby dotrzeć na plac św. Marka, a tam pięciu ciapaków nas obtacza i każdemu naszemu dziecku wciska garść ryżu-makaronu, które to te cholerne weneckie gołębie wprost uwielbiają. Po jedno euro od garści dla dziecka (było z nami 5) i oczywiście po jedno euro dla każdego naciągacza. Wyszło 10 euro. Pogoniłem „wenecko-indyjskiego arystokratę”.

No bo wiecie, ja, polski prostak nie dostrzegam też walorów estetycznych w picciu kawy za 10 euro od łebka na balkoniku 60 cm x 100 cm wiszącym nad śmierdzącym kanałem. Nie rozumiem także picia kawy za taką samą cenę, kiedy obok z samego rana napierdziela młotem pneumatycznym tubylec robiąc odprowadzenie wody od zalanej lekko swojej posesji. Wyjaśniam – widziałem akurat chińskiego turystę, który musiał kawusię z „krosantem” spożyć w tych jakże „arystokratycznych” warunkach. Nie widzę także sensu zjadać zimnego ćwierć kawałka pizzy za 20 euro.

Ale moje polskie prostactwo sięgnęło i tak apogeum, kiedy leżąc sobie o szóstej rano z moją ślubną na kamperowej alkuwie uknuliśmy spisek, żeby o siódmej rano, kiedy gondolierzy śpią, kiedy wenecka arystokracja śpi, a uliczki puste, rano rowerkami myknąć na plac św. Marka.

Tak też zrobiliśmy. Fajnie szło, ale do czasu, kiedy pewna, ranna wenecka arystokratka, niemal dostając spazmów, zagroziła nam drogę i darła się wniebogłosy coś a’la „non bicykles, non bicykles in Wenecja”.

I w tejże właśnie wiekopomnej chwili dotarło do mnie, że są na świecie miasta, które się odwiedza tylko raz w swoim życiu. Mieliśmy szczęście, że w temacie naszej rowerowej, prostackiej eskapadzie nie zabrał głosu sam „burmistrz” Wenecji, który swego czasu chciał przeforsować uchwałę, aby nawet walizki na kółkach były w Wenecji zabronione.

Ale co ja tam, prostak jestem. Do Wenecji przyjechałem na kółkach, kawę swoją wypiliśmy, ale lody miejscowe kupiłem na

okoliczność łagodzącą.

Autorstwo: Trybeus

Źródło: Niepodległy.pl